

Janusz Esman

Wspomnienia. Część II. Czasy stalinowskie

W wrześniu 1947 r. poszedłem do I klasy szkoły powszechnej na ulicy Świętojańskiej. Do szkoły odprowadzała mnie i przyprowadzała do domu mama. Budynek szkolny podzielony był na część dla chłopców i dla dziewcząt. Granicę stanowiła żelazna czarna krata przebiegająca w poprzek korytarzy na wszystkich piętrach. Zauważyłem, że w czasie pauz między lekcjami tuż przy kratkach gromadziło się więcej dzieci. Dotyczyło to w szczególności dryblasów ze starszych klas. Po jakimś czasie wypatrzyłem na szkolnym korytarzu śniadą, ciemnowłosą, raczej pulchną dziewczynkę. Dziewczynka bardzo mi się podobała i kiedy tylko była okazja, zerkalem na nią zza krat. Na koniec roku szkolnego opiekunka naszej klasy (wychowawczyni) pani Helena Maciejczak, zwana Maciejką, przygotowała uczniowskie przedstawienie teatralne o Królewnie Śnieżce i Siedmiu Krasnoludkach. W przedstawieniu brałem udział jako jeden z krasnoludków. Występowała w nim również owa ciemnowłosa dziewczynka. Okazało się, że przeprowadziła się po wojnie z rodzicami do Bydgoszczy z Krakowa.

Zapamiętałem kilku kolegów z klasy, których odwiedzałem w ich domach. Chętnie spotykałem się z chłopcem o nazwisku Awłosewicz, tym chętniej, że ojciec jego był właścicielem dużego składu ze słodyczami na Gdańskiej 38. Kiedy przychodziłem po szkole do jego sklepu, zawsze mogłem liczyć na ofertę wyboru cukierków wprost z załadowanych po brzegi lad. Sklep był nadzwyczaj dobrze zaopatrzony. Awłosewicz oferował prawie wyłącznie dobre gatunkowo słodycze. Dorośli mówili, że pan Awłosewicz jest z pochodzenia Tatarem. Rysy jego twarzy istotnie wskazywały na orientalne pochodzenie. Ktoś, kto szukał tańszych słodyczy mógł je znaleźć w sklepikach na Świętojańskiej czy sklepie kolonialnym pani Grobelnej na Gdańskiej. Tam można było kupić popularne karmelki typu: landrynki, kanoldy, raczki czy pszczołki. Dzieci lubiły także cukierki przypominające kształtem i kolorem papierosy czy cygara. Osobiście preferowałem cukrowe rurki o różnej długości i o różnych smakach. Rurkę wsadzało się do wody i ssało, wciągając płyn do ust. W rurce robiły się otwory, przez które przepływała

słodka ciecz. Po kilku minutach rurka się rozlatywała lub rozplywała. Do mojej klasy chodziło także dwóch chłopców z ulicy Świętojańskiej, u których bywałem w domu. Byli to najwyżsi chłopcy w klasie, o imionach Peppino i Franek. Ojciec Peppina, Włoch ożeniony z Polką, otworzył po wojnie wytwórnię lodów. Peppino kolor włosów odziedziczył zdecydowanie po matce, był płowym blondynem. Franek i Peppino tworzyli nierozłączną parę przyjaciół. Po kilku latach dowiedziałem się, że Peppino zginął w tragicznych okolicznościach.

Na Gwiazdkę 1947 r. dostałem od gwiazdora pierwszą w życiu książkę – nosiła tytuł „Reksio”. Książkę przeczytałem samodzielnie w ekspresowym tempie w wieczór wigilijny, bodajże w ciągu dwóch godzin. Przeczytanie pierwszej książki otworzyło przede mną nowy świat i nowe horyzonty. Wkrótce dostałem kontynuację opowieści o Reksiu zatytułowaną „Reksio i Pucek”. Sporo książek podarował mi najstarszy brat mojej mamy, Jan Nowakowski. Wujek Janek, z zawodu radca prawny, wybierał dla mnie tylko książki wydawane przez wydawnictwa katolickie, na ogół o treści religijnej, starając się kształtować w ten sposób mój chrześcijański pogląd na świat. Takich wydawnictw funkcjonowało jeszcze sporo przez pierwsze powojenne lata. Wydawnictwa katolickie mieściły się wtedy głównie w Krakowie. Do jednej z pierwszych przeczytanych książek, podarowanych mi przez wujka Janka, należała napisana przez Antoninę Domańską powieść historyczna dla dzieci „Trzaska i Zbroja” wydana w 1948 r. w Krakowie przez Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze. Niby to żartem, starał się przekonać moich rodziców, aby w przyszłości skierowali mnie do seminarium duchownego. Wątek „wykierowania” mnie na księdza często pojawiał się w rozmowach rodzinnych z udziałem wujka Janka. Mieszkał blisko nas, na ulicy Kopernika. Z jego o trzy lata młodszym synem Tolkiem (Antkiem) grywałem często w szachy. W wieku kilkunastu lat pojechał do Gdyni, gdzie uczestniczył w kursie pływackim. Po powrocie z wybrzeża poszliśmy na basen. Zaimponował mi tam stylowym motylkiem.

Na ulicy Asnyka nie miałem rówieśników. Towarzyszami moich zabaw byli chłopcy z innych ulic. Naszymi „sąsiadami zza płotu” od strony ulicy Ossolińskich była rodzina Glassów. Głową rodziny był pan Eugeniusz Glass-Brudziński, znany w późniejszym okresie adwokat. Miał dwóch synów: Marka i Piotra. Z Markiem chodziłem przez pewien okres do tej samej szkoły. Przeżyliśmy niejedną chłopięcą przygodę. Najbliższym kompanem został wymieniony wyżej Rajmund Szendel. Po drugiej stronie ulicy pod numerem 2, w willi Klemensa Staraka, mieszkał żydowski chłopiec, na którego wołaliśmy po prostu Żydek. Mógł być trzy lub cztery lata starszy ode mnie. Nie miał rodziców, wszyscy jego krewni zginęli w obozie koncentracyjnym. Po wojnie przygarnęła go polska

rodzina. Rozpierała go energia. Pamiętam, z jaką zajadłością kopał „piłkę” zrobioną z przewiniętej na drugą stronę zimowej czapki. Pewnego dnia zniknął mi z oczu. Okazało się, że jechał na łyżwach za samochodem ciężarowym. Auto nagle się zatrzymało i Żydek pod nie wjechał – zginął na miejscu.

W dzieciństwie jeździłem w miarę systematycznie na letnie wakacje. Na ogół wyjazdy do znajomych mieszkających na wsi organizowała mama. Pierwszy wakacyjny pobyt poza domem rodzinnym miał jednak miejsce w 1946 r., kiedy w ramach ubezpieczenia społecznego i pomocy państwa dla rodzin wielodzietnych wyjechałem z mamą na trzy tygodnie do Domu Matki i Dziecka w Orłowie koło Inowrocławia. Nasze lokum mieściło się w ładnym pałacyku czy też dworku położonym w dużym parku. W pierwszych latach po wojnie państwo często przeznaczało pałace i dwory na cele społeczne, między innymi na domy wczasowe, sanatoria i prewentoria, a także na siedziby administracji spółdzielni produkcyjnych i Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Po kilku latach użytkowania przez nieodpowiedzialnych gospodarzy obiekty te uległy dewastacji, czego skutki odczuwamy do dziś.

W 1949 r. mama pojechała do sanatorium w Iwoniczu-Zdroju, gdzie poznała panią Janiszewską, rolniczkę z Prądocina, wsi położonej nad Jeziorem Jezuitkim, koło stacji kolejowej Chmielniki. Panie zaprzyjaźniły się, czego efektem było zaproszenie całej rodziny do spędzenia wakacji na wsi. Pani Janiszewska, która była wdową, prowadziła wspólnie z dwoma synami kilkunastohektarowe gospodarstwo rolne. Do Prądocina wybraliśmy się w składzie pięcioosobowym, w domu pozostał ojciec z babcią. Jechaliśmy na dwa letnie miesiące, wobec czego mieliśmy do zabrania mnóstwo rzeczy. Pani Janiszewska wysłała po nas do Bydgoszczy wóz konny z woźnicą, abyśmy zabrali to wszystko, co będzie przydatne na długich dwumiesięcznych wakacjach. Podróż do Prądocina trwała kilka godzin. Dla pary koni najtrudniejszy odcinek do pokonania stanowił podjazd ulicą Kujawską. W pewnym momencie woźnica poprosił mnie, abym zszedł z wozu, co natychmiast uczyniłem. Prawdopodobnie niewiele to pomogło koniom, ale wóz jakoś wtoczył się na górkę. Pobyt w Prądocinie wspominam z dużym sentymentem. Miałem sporo swobody, co nie znaczy, że czas mijał mi tylko na zabawie. Od czasu do czasu pani Janiszewska prosiła moje dwie siostry i mnie do pomocy w polu. Pomagaliśmy w pracach rolniczych z dużym zaangażowaniem. U pani Janiszewskiej nauczyłem się jeździć konno na oklep na koniu o imieniu Walek. Szło mi tak dobrze, że zbierałem zasłużone pochwały dorosłych, którzy nie mogli się nadziwić, że tak szybko nauczyłem się jeździć konno. Umiejętność konnej jazdy przydała się w czasie żniw, kiedy dowoziłem żniwiarzom posiłki, czarną kawę zbożową lub rozcieńczone wodą wino, na oddalone o kilka kilometrów pole. Do

moich obowiązków należało też wypasanie krów. Najmniej chętnie pomagałem w żniwa przy stawianiu w sztygi snopków zboża. Szorstkie kłosy kludy niemiłosiernie moją delikatną skórę na piersiach, brzuchu i nogach. W 1950 r. z Bydgoszczy do Inowrocławia prowadziła jeszcze droga szutrowa. Podczas naszego pobytu w Prądocinie zaczęto drogę modernizować: poszerzano ją i wylewano asfalt. W niedzielę jeździliśmy bryczką do kościoła do Nowej Wsi Wielkiej. Powoził jeden z synów pani Janiszewskiej, starszy Zdzychu albo młodszy Tadeusz. Zwróciłem uwagę, że do kościoła przyjeżdżało sporo chłopów w kujawskich strojach ludowych. W strojach tych paradowali i mężczyźni, i kobiety. Powtarzało się to co niedzielę.

W następnym 1951 r. pojechaliśmy znowu na wakacje do Prądocina. Tym razem byliśmy tam tylko miesiąc. W 1952 r. spędziłem wakacje w Osieku koło Wyrzyska u znajomych rodziców jeszcze sprzed wojny – Jasiczaków. Mieli oni spore gospodarstwo liczące około 20 hektarów. W czasach stalinowskich władze traktowały takie gospodarstwa jako kułackie. Jasiczak, krzepki mężczyzna około pięćdziesiątki, manifestował jawnie niechęć do komunizmu. Wielokrotnie słyszałem, jak opowiadał, że rządy komunistyczne dobiegają w Polsce końca, a na wiosnę następnego roku mają nas wyzwolić Amerykanie. Kiedy sobie popił, śpiewał Pierwszą Brygadę. Po słowach „My, Pierwsza Brygada” dodawał: „Piłsudskiego dziada”, z czego wnioskuję, że nie należał do zwolenników marszałka. Podobnie jak w Prądocinie pomagałem w gospodarstwie. Jasiczak miał kilkoro dzieci, dwoje w moim wieku. Głównym zadaniem dzieci był wypas krów. Najpiękniejsze chwile spędzałem na łące, obserwując krążące wysoko na niebie bociany. W późniejszych latach nie miałem już okazji, aby położyć się tak bez troski na łące i potrzebę na wysoko szybujące na niebie bociany.

W roku 1948 nastąpiła rejonizacja szkół w Bydgoszczy, w jej wyniku zmieniłem szkołę i od września tego roku zacząłem uczęszczać do Szkoły Powszechnej nr 1 na ulicy Staszica. W tym samym gmachu mieściło się w tym czasie także Gimnazjum Miejskie, które w 1950 r. przekształcono na Liceum Ogólnokształcące nr 6. Zmiana szkoły była dla mnie korzystna, bowiem zamiast uczęszczać do oddalonej o około 20 minut szkoły na ulicy Świętojańskiej, chodziłem odtąd do znajdującej się o 5 minut od domu szkoły na Staszica. Odległość tę mogłem skrócić nawet do minimum, wchodząc na szkolne boisko przez dziurę w płocie od strony ulicy Kopernika. Do szkoły chodziły dzieci z pobliskich ulic. Sądzę, że spora część dzieci pochodziła z rodzin inteligenckich. W tym czasie zaczęła nadchodzić do Polski pomoc z UNRRA. Pamiętam, że regularnie dostawialiśmy w szkole tran w stanie płynnym lub w tabletkach. Raz na tydzień dawano nam jedną łyżkę stołową tranu. Do klasy przychodziła higienistka, uczniowie ustawiali się w ogonku i łykali

tran z łyżki. Po polknięciu tranu higienistka wycierała łyżkę szmatką, po czym wlewała na nią porcję dla następnego ucznia. Zarówno dorośli, jak i dzieci rozmawiali sporo o szczodrej „cioci Unrze” z USA. Nasza rodzina dostała także kilka razy paczki z żywnością i z odzieżą z UNRRY. Dobrze zapamiętałem



Janusz Esman w gronie rodzinnym

wygląd i zawartość paczki żywnościowej. Paczka była woskowana, koloru khaki, ważyła około pięciu kilo. W czasie wojny dostarczano je dla żołnierzy amerykańskich walczących w Europie i na Dalekim Wschodzie. Powojenne nadwyżki paczek rząd amerykański przekazał do niedożywionej i głodującej Europy. Produkty żywnościowe znajdujące się w środku takiej paczki określiłbym wtedy jako towary luksusowe. Z takimi rarytasami jak w paczce zetknąłem się pierwszy raz w życiu. Wszystko było znakomite: tabliczki czekolady, puszki wołowiny, sok grejpfrutowy, sok pomarańczowy, herbata, kawa rozpuszczalna – neska, kakao i guma do żucia w paskach. Najbardziej smakowała mi czekolada. Gruba, twarda, gorzka tabliczka czekolady znajdowała się w woskowanym kartoniku. Czekolada była tak twarda, że nie mogłem jej pogryźć, w związku z czym rozbiłem ją młotkiem na kawałki. Trud przy jej przygotowaniu do jedzenia się oplacał, ponieważ smak miała znakomity.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy dostaliśmy paczki UNRRY, dotarła do nas niespodziewanie przesyłka z Ameryki adresowana na moją babcię Teklę. Nadawcą okazał się brat mojej babci, Mieczysław Śmidowicz, który w 1905 r. wyemigrował za ocean. Babcia opowiedziała o kulisach jego wyjazdu. Mieczek, bo tak nazywała go babcia, w wieku 15 lat uciekł z domu. Kupił bilet z Poznania do Hamburga, zamustrował się na statek w charakterze palacza i popłynął do Nowego Jorku. Osiadł najpierw w stanie Pensylwania, później w Connecticut, gdzie znalazł zatrudnienie w kopalni węgla kamiennego. Ciężko pracował całe życie jako górnik. Po przejściu na emeryturę przypomniał sobie, że ma rodzeństwo w Polsce. Postanowił wesprzeć rodzinę „paczkami”. Ameryka kojarzyła się nam z krainą obfitości. Jakież było nasze rozczarowanie, kiedy na poczcie na ulicy Zygmunta Augusta odbieraliśmy przesyłkę stanowiącą średniej wielkości

kopertę. W kopercie znajdowała damska chusta na głowę z motywami krakowskimi oraz banknot jednodolarowy schowany zmyślnie wewnątrz koperty. Wujek Mieczek jeszcze kilka razy przekazywał babci „paczki” z podobną zawartością.

We wrześniu 1950 r. znowu zmieniłem szkołę – rodzice przenieśli mnie do Szkoły Powszechnej nr 6 imienia Ewarysta Estkowskiego na ulicę Księcia Józefa Poniatowskiego nr 12. Ukończyłem tam czwartą, piątą i szóstą klasę. Powodem zmiany było objęcie szkoły na Staszica patronatem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. TPD miało opinię szkoły ateistycznej, która w swoim programie wychowawczym propaguje walkę z religią i Kościołem. Przeciwnicy TPD odczytywali ten skrót złośliwie jako Towarzystwo Przyjaciół Diabła. Do szkoły miałem zdecydowanie dalej, czas dojścia przedłużył się z 5 do 15 minut. Trasa moich codziennych wędrówek na lekcje prowadziła ulicą Ossolińskich, placem Weyssenhoffa, ścieżką obok ogrodu botanicznego (dzisiejsza ulica Powstańców Wielkopolskich), przecinała Chopina i dalej wzdłuż Poniatowskiego dochodziła prawie do rogu Chodkiewicza. Przed Ogrodem Botanicznym i boiskiem Studium Nauczycielskiego, aż do bocznic kolejowej na ulicy Ogińskiego, rozciągał się pas pola obsadzany zbożem. Bocznic kolejowa prowadziła do Rzeźni Miejskiej i magazynu towarów żelaznych. Na bocznic panował spory ruch. Wagonów towarowych często tarasowały przejście do ulicy Ogińskiego. W takich przypadkach przechodziłem na kuckach pod wagonami. Kiedy lokomotywa ciągnęła wolno wagony, urządzaliśmy zabawę polegającą na przerzucaniu pod nimi tornistrów. Kiedyś kolega z klasy, Genio Wyrwicki, chybił, przerzucając tornister, który zamiast upaść po drugiej stronie torów, wpadł pod koła pociągu. Tornister został wielokrotnie rozjechany przez koła wagonów i niewiele z niego pozostało.

W obrębie ulic: Chodkiewicza, Poniatowskiego, Chopina i Ogińskiego, znajdował się cieszący się ponurą sławą kompleks budynków należących do Wojewódzkiego i Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Przy wejściu do WUBP od strony ulicy Chodkiewicza stał zawsze uzbrojony żołnierz z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). Przed gmachem Miejskiego UB, od strony dzisiejszej ulicy Powstańców Wielkopolskich, stał także wartownik KBW z bagnetem na broni. Strzegł on nie tylko wejścia do budynku, ale także całego chodnika. Przed budynkiem umieszczono tablicę o zakazie wstępu na chodnik. Jeżeli tylko ktoś ośmielił się tam wejść, wartownik zaraz reagował. Na ogół był to krzyk albo skierowanie się szybkim krokiem w stronę intruza. Idąc do szkoły albo wracając z niej, wielokrotnie wstępowałem, chociażby jedną nogą, na chodnik. Robili tak także inni chłopcy. Nam, młodym chłopcom, wydawało się, że wejście na chodnik należący do UB stanowi akt nie lada odwagi. Zdarzało się, że zbyt nerwowi żołnierze w takich sytuacjach podbiegali do nas i głośno

krzyczeli, żebyśmy natychmiast opuścili chodnik. Raz nawet jeden z żołnierzy zdjął z ramion karabin i udawał, że do nas mierzy. Żołnierzy wycofano przed gmachem UB przy końcu 1954 r. Wiązało się to z likwidacją Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i zastąpienie go Komitetem do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Wielokrotnie zdarzyło mi się oglądać budynki i dziedziniec Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa od strony ulicy Chodkiewicza. Teren należący do UB odgródzony był od ulicy wysokim, murowanym płotem. Przed płotem rosły krzaki i drzewka. Dla chłopców wdrapanie się na płot nie stanowiło większego problemu. Najodważniejsi skakali chociaż na chwilę na drugą stronę. Raz też zeskoczyłem z płotu na dziedziniec należący do UB. Koledzy siedzący na płocie zrobili mi kawał i nagle zniknęli. Po chwili jednak się pojawili i podciągnęli mnie rękoma na górę ogrodzenia.

W nowej szkole zmieniło się także środowisko, w którym dotąd przebywałem, bowiem na Poniatowskiego chodziły przeważnie dzieci z rodzin robotniczych. Opiekunką klasy została doświadczona przedwojenna nauczycielka pani Genowefa Kołodziej, zwana Kołodziejką, która uczyła geografii. Kierownictwo szkoły sprawowała działaczka Stronnictwa Demokratycznego Eugenia Furmaniakowa. Nauczyciele na Poniatowskiego stosowali w stosunku do uczniów bogaty repertuar kar cielesnych. Z takimi karami nie zetknąłem się w innych szkołach. Nasza opiekunka klasy pani Kołodziej celem wdrożenia dyscypliny używała przede wszystkim drewnianego piórnika. Ciężkie piórniki zrobione z litego drewna składały się z cieńszej pokrywki i grubego pojemnika przeznaczonego na obsadki stalówki, ołówki, cyrkle i gumki. Za drobniejsze przewinienia nauczycielka biła po łapach pokrywką od piórnika, za poważniejsze – dostawało się grubą, litą częścią piórnika. Po łapach dostawali głównie chłopcy. Zdarzało się, że nauczycielka traciła panowanie, biła wtedy czym popadnie, na ogół był to drewniany kij – wskaźnik do pokazywania różnych punktów na mapie. Nauczyciel biologii, Wójtowicz, stosował najwymyślniejszą torturę. Podchodził do siedzącego w ławce ucznia i wyciągał go za włosy w okolicach uszu do góry. Kiedy uczeń stał już na nogach, Wójtowicz nadal ciągnął go za włosy do góry. Uczeń wstawał wtedy na palcach tak wysoko, jak tylko mógł. Inną metodę wymuszenia posłuchu stosował nauczyciel historii, pan Czyż. Karał rzadko, ale bił mocno, i to otwartą dłoń. Kiedyś tak mocno uderzył ucznia, że ten upadł na podłogę prawie znokautowany. Mimo tak surowych i wymyślnych kar nauczyciele mieli problem z utrzymaniem dyscypliny wśród uczniów. Ci, którzy bili, cieszyli się posłuchem, natomiast nauczyciele delikatni często zupełnie nie dawali sobie rady z rozwydrzoną dzieciarnią. Kary mogą dzisiaj wydawać się drakońskie, ale wychowawcom trudno było opanować wybujały temperament podopiecznych. Większość rodziców akceptowała

wymierzanie kar cielesnych dzieciom. Niektórzy wręcz zachęcali nauczycieli do bicia swoich krnąbrnych i nieposłusznych pociech. Sam słyszałem ojca mojego kolegi z klasy, który mówił do nauczyciela: – „Lej go pan, ile wlezie, tylko patrz, aby równo puchło”. Bójki pomiędzy uczniami stanowiły codzienność. Najgorszą sławą cieszył się chłopak, którego nazywano Świnią. Świnia bił się w sposób niekonwencjonalny, nie ostrzegał, że uderzy, tak jak inni chłopcy, lecz po prostu znienacka wypuszczał fangę w twarz. Bił pięścią, gdy ktoś go przypadkowo popchnął czy krzywo spojrzal. Kiedyś w czasie przerwy poszedłem do ubikacji, żeby napić się wody z kranu. Przytknąłem usta do kranu i odkręciłem zawór. Zrobiłem to zbyt gwałtownie i woda pod dużym ciśnieniem opryskała stojącego obok Świnię. Kątem oka zauważyłem pięść Świni łądującą w okolicach mojego ucha. Ogluszony upadłem na posadzkę. Kiedy się pozbierałem z mokrej posadzki, byłem sam w ubikacji.

Języka rosyjskiego uczyła starsza, kulturalna pani, Rosjanka z pochodzenia, mówiąca po polsku z wyraźnym akcentem rosyjskim. Nie pamiętam jej nazwiska, mówiliśmy na nią Babuszka. Babuszka nie biła, nie krzyczała, upominała nas jedynie słabym głosem, powtarzając: – „Djeti, tisz, djeti, tisz, tiszina...”. Nie pomagały jednak jej błagania, uczniowie krzyczeli, buczeli, niektórzy chodzili po klasie, nic sobie nie robiąc z nauczycielki. Truizmem jest stwierdzenie, że dzieci potrafią być okrutne. Dzisiaj, po upływie kilkudziesięciu lat, widzę ją jak żywą. Mogła być wtedy po sześćdziesiątce, może nawet bliżej siedemdziesiątki. Zachowała jednak piękną, inteligentną twarz. Malował się na niej smutek, zmęczenie i bezradność.

Warto wspomnieć o przyborach do pisania. Kiedy zacząłem chodzić do szkoły w 1947 r., do nauki pisania używaliśmy rysika i kredy. Rysikiem pisało się na mniejszej tabliczce, natomiast kredą na większej. Do ścierania tekstu napisanego rysikiem lub kredą służyła szwamka (gąbka), która także należała do szkolnego wyposażenia pierwszoklasisty. Obie tabliczki nosiło się do szkoły przytroczone do tornistra. Po kilku tygodniach pisania rysikiem i kredą zaczęliśmy pisać piórem. Pióro składało się z drewnianej osadki i metalowej stalówki. Atrament znajdował się w szklanych kałamarzach umieszczonych w blatach szkolnych ławek. W wyższych klasach nosiłem atrament ze sobą do szkoły, ponieważ szkoła nie nadążała z uzupełnianiem pustych pojemników. W piątej klasie, czyli w roku 1952, zacząłem używać wiecznego pióra.

Latem 1953 r. odwiedził mnie mój kuzyn Andrzej Nowakowski. Pokazał mi żółty przedmiot z ebonitu i zapytał, czy wiem, co to jest. Odpowiedziałem, że nie wiem. Polecił, abym pokazał wewnętrzną stronę dłoni. Kiedy to zrobiłem, nabazgrał coś na mojej ręce. – „To jest pióro kulkowe” – wyjaśnił. Wtedy

pierwszy raz w życiu zetknąłem się z długopisem. Początkowo długopisy były drogie, więc w szkole nadal używałem wiecznego pióra. Stały się powszechne dopiero w następnych latach. Kto chciał zaoszczędzić na wkładach do długopisów, mógł skorzystać z licznych punktów napelniania wkładów tuszem.

W czasach stalinowskich nie obchodzono w szkołach Świąt Bożego Narodzenia. Zamiast tego pojawiał się importowany z Kraju Rad obyczaj obchodzenia Nowego Roku. W styczniu 1952 r., kiedy byłem w szóstej klasie, szkoła zorganizowała zabawę noworoczną dla dzieci w sali zakładów Makrum na Osiedlu Leśnym. Główną atrakcją uroczystości stanowiło przybycie Dziadka Mroza. Dziadek nie przypominał naszego gwiazdora. Owszem, miał wąsy i brodę, ale szary strój wydawał się raczej ubiorem rosyjskiego muzyka. Dziadek Mróz miał kosz z różnymi słodyczami, rozdawał je na prawo i lewo, a w końcu zaczął rzucać je w tłum dzieci. Po imprezie poszedłem z kolegami do pobliskiego Lasu Gdańskiego. Jeden z nich poczęstował nas koniakiem, który ukradł ojcu z domu. Piliśmy prosto z butelki. Nigdy przedtem nie piłem alkoholu, nie chciałem być jednak gorszy od innych i mężnie połknąłem dwa łyki tego ognistego trunku.

W 1950 r. rozpocząłem naukę przygotowawczą do I Komunii Świętej. Nauka odbywała się w salce katechetycznej mieszczącej się podziemiach kościoła św. Wincentego á Paulo od strony ulicy Leona XIII. Pobyt w tej salce kojarzy mi się z wilgocią i stęchlizną. Pamiętam, że pomieszczenie to było zawsze przepelnione, ponieważ chodzili tam chłopcy z kilku okolicznych szkół. Pewnego zimowego dnia w późnych godzinach popołudniowych czekaliśmy przed kościołem na rozpoczęcie lekcji religii. Nagle do naszej grupki podszedł chwiejnym krokiem jakiś robociarz. Wyciągnął rękę w kierunku kościoła i zaczął nią wygrażać, belkocząc: – „Ciemnogród, ciemnogród, zburzyć ciemnogród!”. Trwało to minutę, a może i dłużej. W pewnym momencie stracił równowagę na śliskiej oblodzonej nawierzchni i ciężko upadł w kałużę wody. Jego upadek został przywitany dziecięcym śmiechem. Pijak przez dłuższy czas nieporadnie gramolił się, próbując wstać i opuścić kałużę. Wreszcie wstał i belkocząc, poszedł dalej. Pijakowi oczywiście nie współczułem, wręcz przeciwnie byłem zadowolony, że Pan Bóg go przykładnie ukarał za te bluźnierstwa. Do I Komunii przystąpiłem w maju 1951 r. Prezenty były skromne, na miarę ciężkich czasów i możliwości mojej rodziny. Najbardziej zadowolony byłem z szachów, które służą mi do dzisiaj.

W pierwszych powojennych latach dziecięce zabawy koncentrowały się w obrębie ulic: Asnyka, Kopernika, Ossolińskich, placu Weysenhoffa i Sielanki. Ulice te stanowiły bezpieczny „plac zabaw”, bowiem ruch pojazdów prawie nie istniał. Czasami zapuszczaliśmy się na ulicę księdza Markwarta, gdzie znajdował się cmentarz ewangelicki. Cmentarz ogrodzony był od strony ulicy solidnym

czerwonym murem. Bawiliśmy się w typowe dla tych czasów gry dziecięce: dwa ognie, palanta, kluskę (klipę), chowanego. Grą wymagającą nie lada zręczności była zabawa polegająca na popychaniu felgi od roweru specjalnie skonstruowanym drutem. Wyścigi odbywały się wzdłuż ulic: Asnyka, Kopernika i Ossolińskich. Wygrywał ten, który na metę przybiegł z kołem pierwszy. Kiedyś mój kolega ze szkoły i jednocześnie sąsiad z ulicy Ossolińskich, Marek Glass, wystąpił w wyścigu z obręczą drewnianą. Obręcz drewniana była lżejsza od obręczy metalowych, toteż nic dziwnego, że zaczął nas bić na głowę. Ulubioną rozrywką z okresu nauki w szkole powszechnej na Poniatowskiego była zabawa w policjantów i złodziei. Urządzaliśmy ją na ogół po lekcjach. W grze uczestniczyło od kilku do kilkunastu uczniów podzielonych na ekipę złodziei i ekipę policjantów. Przed rozpoczęciem zabawy ustalaliśmy obszar poszukiwań złodziei – najczęściej były to całe Bielawki. Popularną grą wśród chłopców był cymbergaj. Za boisko do rozgrywania meczów w cymbergaja służyły stoły nauczycielskie i uczniowskie ławki. Bramki oznaczano ostrym narzędziem na krawędziach mebli. Gra polegała na popychaniu mniejszej i lżejszej monety przez dwie większe monety. Do popychania monet służyła odwrotna strona grzebienia, fragment drewnianej linijki lub specjalna listwa. Inną grą „tylko dla chłopców”, była gra w bejmy (monety). Chodziło o celne uderzenie monetą o murek (ścianę). Każdy z uczestników zabawy starał się skierować ją jak najdalej. Kolejny gracz uderzał tak, aby jego moneta znalazła się najbliżej monety przeciwnika. Gdy odległość między monetami była mniejsza niż rozstawione palce ręki, zabierał wszystkie leżące na ziemi pieniądze.

Ulica Asnyka nie zmieniła się bardzo od czasów mojego dzieciństwa. Zniknęły latarnie gazowe i drewniane słupy podtrzymujące druty trakcji elektrycznej. Żelazna latarnia gazowa stała dokładnie przed wejściem do naszego domu. Latarnia miała zdobioną kolumnę i osadzony na niej szklany klosz. Kiedy zmierzchało, przyjeżdżał na rowerze robotnik z gazowni, wyposażony w długi kij z haczykiem na końcu, i zapalał latarnię. Następnego dnia rano ten sam pracownik przyjeżdżał, aby zgasić światło latarni.

W pierwsze powojenne lata do naszego domu przychodzili ludzie proszący o jedzenie lub pieniądze. Nazywało się to wtedy, że „chodzą po prośbie”. Na ogół mama albo babcia szykowały chleb, obkładały serem lub kielbasą, zawijały w papier i dawały proszącym. Często się zdarzało, że proszący zostawiali chleb jeszcze na klatce schodowej lub wyrzucali przed domem. Niejednokrotnie zdarzało się, że do mieszkania przychodzili ludzie, którzy chcieli skorzystać z ustępu. Wpuszczaliśmy ich do łazienki, ale kiedyś pewna kobieta przy okazji załatwiania swoich potrzeb ukradła kilka kawałków mydła. Od tego czasu nie wpuszczaliśmy ludzi za potrzebą, mówiąc, że nie mamy łazienki.

Raz w tygodniu, w piątki, pojawiał się na naszej ulicy roznosiciel syfonów. Przywoził je na ręcznie pchanym wózku. Szklane syfony były albo fioletowe, albo niebieskie. Roznosiciel wnosił do domu pełny syfon i odbierał pusty. W naszym domu nikt nie zamawiał syfonów. Kiedyś zapytałem mamę, dlaczego ich nie zamawiamy, odpowiedziała mi, że syfony są tylko dla bogatych ludzi.

Od końca lat czterdziestych bywałem częstym gościem na Stadionie Milicyjnego Klubu Gwardii, bo tak w tamtych czasach nazywał się klub będący poprzednikiem dzisiejszej Polonii. Tak jak i inni chłopcy w moim wieku interesowałem się sportem żużlowym. Chodziłem prawie na wszystkie mecze rozgrywane przez bydgoską drużynę. Nie ograniczałem się zresztą do zawodów żużlowych, chodziłem także na treningi. Asnyka położona była blisko stadionu. Kiedy tylko usłyszałem charakterystyczny warkot motocykli żużlowych, wychodziłem z domu, aby pooglądać moich bohaterów na treningu. Na ogół przed treningiem i po jego zakończeniu chodziłem do parkingu motocyklowego popatrzeć z bliska na żużlowców. Tor żużlowy w latach czterdziestych wyglądał inaczej niż obecnie. Przypominał raczej piaszczystą bieżnię. Na wirażach wznosił się do góry, aby później opaść w kierunku dłuższych odcinków prostych. Tor nie był zabezpieczony od strony widowni. Miejsca do siedzenia znajdowały się tylko na krytej trybunie. Jeżeli ktoś chciał oglądać zawodników na wirażu, mógł stanąć na koronie stadionu. Dopiero w następnych latach ustawiono wokół toru żelazne barierki, a potem drewnianą bandę. Zapamiętałem nazwiska kilku zawodników Gwardii z tego okresu. Wydaje się, że najstarszym był jednooki Śrubkowski, noszący charakterystyczną czarną opaskę na oku. Do „starej gwardii” zaliczam Karaszewskiego, Budę, Gary Antosiewicza i Błajdę. Później doszli młodszy: Bonin, Raniszewski i bracia Świtalowie. W latach pięćdziesiątych pojawiły się nowe motocykle, przystosowane do jazdy po żużlowej nawierzchni. Nazywaliśmy je dżepami. Pierwszy na bydgoskim torze zaprezentował się na dżepie zawodnik z Ogniwa Łódź Tadeusz Koleczek. Jego motocykl był tak szybki, że Koleczek zdeklasował swoich rywali we wszystkich wyścigach. Wyścigi motocyklowe odbywały się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych także na bydgoskich ulicach. Trasa wyścigów przebiegała ulicami: Markwarta, Ossolińskich, placem Weyssenhoffa i Paderewskiego. Mieszkałem blisko, więc byłem stałym bywalcem imprez motocyklowych. Miałem nawet swoje ulubione



Janusz Esmann, uczeń szkolny

miejsce obserwacji motocyklistów: na nieistniejącym już ceglany murku przed Instytutem Rolniczym.

Na tej samej trasie organizowano wyścigi kolarskie o nazwie 100 Kilometrów Ulicami Bydgoszczy. Brali w nich udział czołowi polscy kolarze, tacy jak Wrzesiński, Wójcik, Wilczewski i bracia Klabińscy. Imprezy sportowe odbywały się również na pobliskim korcie tenisowym przy ulicy Zamojskiego. Latem widzowie mogli oglądać zmagania tenisistów i bokserów z wysokich drewnianych trybun ustawionych w kształcie prostokąta przy korcie tenisowym.

Zimą na Zamojskiego królował hokej. Na mecze hokejowe chodziłem przeważnie z ojcem. Bydgoszcz miała dwie silne drużyny hokejowe: Gwardię (później Polonia) i OWKS (Okręgowy Wojskowy Klub Sportowy, później Zawisza). Obie drużyny grały latami w pierwszej lidze. W Gwardii wyróżniającymi zawodnikami byli bracia Tyliszczakowie, bracia Sylwestrzakowie i Brzeski. W OWKS Bydgoszcz brylował Chmara i Kadow. Silną drużynę hokejową miał Toruń. Mecze z Pomorzaniem Toruń zawsze wywoływały emocje wśród kibiców. Czołowym hokeistą torunian był napastnik Lucjan Dybowski. Zetknąłem się z nim osobiście na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, gdzie prowadził zajęcia z wychowania fizycznego. Dybowski miał uprawnienia instruktora narciarskiego. Zimą 1964 r. uczestniczyłem w zorganizowanym przez niego dla studentów UMK obozie narciarskim w Zieleńcu koło Klodzka. Obok głównego lodowiska na Zamojskiego uruchamiano także ślizgawkę dla zwykłych śmiertelników. Właśnie tam nauczyłem się jeździć na łyżwach. łyżwy w tych czasach przykręcało się do zwykłych zimowych butów. Aby przymocować łyżwę do obcasa należało udać się najpierw do szewca w celu wmontowania do niego blaszki nazywanej zamkiem. W odróżnieniu od innych rodzajów łyżew o takich mówiło się, że są na zamek. Dzisiaj, po kilkudziesięciu latach, zastanawiam się, jak to możliwe, że w czasach mojego dzieciństwa i młodości zimą regularnie odbywały się ligowe rozgrywki hokejowe. Obecnie jest to nie do pomyślenia – bez sztucznego boiska hokejowego nie ma hokeja. Zjawisko to mogę tłumaczyć tylko zmianą klimatu, jaka zaszła w ciągu mojego życia.

Po wojnie, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, Brda i Kanał Bydgoski stanowiły ruchliwą arterię komunikacyjną łączącą Bydgoszcz z licznymi miastami w Polsce i Europie. Pamiętam podręczniki geografii, w których zachwalano walory naszego kanału i znaczenie Bydgoszczy jako ważnego portu rzecznego. Podkreślano, że transport rzeczny jest najtańszy i najbardziej przyjazny środowisku ze wszystkich rodzajów transportu. Obecnie Kanał Bydgoski tylko z nazwy jest kanałem, ponieważ przestał już pełnić funkcję drogi wodnej. Dobrze pamiętam przypadające na 24 czerwca obchody Święta Wianków. Pierwsze Wianki

zorganizowano w Bydgoszczy już w 1946 roku. Główne uroczystości miały zawsze miejsce wieczorem nad brzegiem Brdy, koło mostu Teatralnego (Jerzego Sulimy-Kamińskiego). Pamiętam wielkie parady taboru pływającego na Brdzie: statków, barek, łodzi i tratw płynących w dół rzeki w stronę Brdyujścia. Cała ta pływająca flotylla przystrojona była licznymi światełkami i lampionami. Co wydawało się zaskakujące, na środku tratw palono ogniska. Wszystkie te światła powodowały, że na rzece i nadbrzeżu robiło się jasno jak w biały dzień. Późnym wieczorem następowała kanonada fajerwerków. W połowie lat pięćdziesiątych tradycja organizowania Wianków zaczęła zanikać. Z bydgoskiego pejzażu zniknęły przepływające przez miasto barki, statki i tratwy.

W dzieciństwie jeździłem wielokrotnie do Brdyujścia. Największą atrakcją dla nas, chłopców, było chodzenie i skakanie po tratwach, których dziesiątki cumowało nad brzegiem zalewu w Porcie Drzewnym. Zdarzało się, że ktoś wykonał fałszywy krok lub skok i lądował w wodzie. Pnie drzew, z których składano tratwy, po okresie leżakowania w wodzie transportowano do pobliskich tartaków. Jeżeli ktoś miał ochotę mógł sobie popływać w Brdyujściu łódką. Za drobną opłatą właściciele łódek przewozili chętnych po zalewie.

Bardzo miło wspominam wycieczki do Oplawca i Smukały. Jeździliśmy tam koleją wąskotorową, zwaną Małą Kolejką, Kolejką Powiatową lub po prostu Kolejką. Początkowo jeździłem z rodzicami i rodzeństwem, później z kolegami. Dworzec Małej Kolejki, w odróżnieniu od Dużego Dworca, nazywał się oczywiście Małym Dworcem. Znajdował się na Grunwaldzkiej pomiędzy ulicą Kanałową i Kraszewskiego. Bilety kupowało się w dworcowej kasie. Kontrolą biletów w trakcie podróży zajmowali się konduktorzy. Jazda do Smukały, przerywana kilkoma przystankami, trwała pół godziny. Eskapada zajmowała nam latem kilka godzin, zdarzało się jednak, że wracaliśmy do domu dopiero wieczorem. W Smukale funkcjonowała duża restauracja. Można tam było zjeść obiad i wypić piwo przy stoliku lub przy szynkwasiu. Największym powodzeniem cieszyła się przestronna weranda. W połowie lat pięćdziesiątych restauracja zaczęła podupadać. Zimą, kiedy restauracja była zamknięta, systematycznie ją dewastowano. Początkowo po zimie wprawiano jeszcze w oknach szyby w głównej sali restauracyjnej i małe ozdobne szybki na werandzie, później nie było już na to pieniędzy. Dzisiaj po restauracji nie ma śladu.

Jedynie prywatne auta na Asnyka należały do mojego wujka Zygmunta Mateckiego, wtedy prokuratora, później adwokata. Wujek najpierw miał zrobioną częściowo z dykty dekwkę (DKW), potem przedwojennego polskiego fiata. Samochody te ciągle się psuły. Na szczęście dla wujka w suterenie mieszkał Waldemar

Szendel, który był z zawodu mechanikiem samochodowym. Szendel starał się, jak mógł, aby wujek mógł od czasu do czasu wyjechać swoimi pojazdami poza granice posesji. Transport samochodowy w pierwszych latach powojennych był w Bydgoszczy w powijkach, na ulicach widywało się głównie pojazdy konne. Chleb przewożono pomalowanymi na żółto krytymi wozami przypominającymi rosyjskie kibitki. Podobnymi wozami przewożono pocztę. Wozy pocztowe przemalowano po jakimś czasie na kolor zielony, a po bokach umieszczono napis Poczta.

W większości restauracji w tamtym czasie sprzedawano piwo beczkowe. Piwo pito przy stolikach lub na stojąco przy szynkwasach. Do restauracji dowożono piwo na specjalnie przystosowanych do przewozu beczek odkrytych platformach konnych. Beczki stały nie tylko na wierzchu pojazdu, ale podwieszano je także na łańcuchach pod platformami. Wozy ciągnęły silne i masywne konie belgijskie. Sporo towarów do miasta dostarczali też transportem konnym chłopcy z okolic Bydgoszczy. Istniały dwa miejsca na ulicy Asnyka, do których na początku lat pięćdziesiątych zaczęły podjeżdżać samochody służbowe. Na parterze domu pod numerem 3, należącym do Klemensa Starka, zamieszkał pułkownik sowiecki z żoną i dwiema córeczkami. Dziewczynki o imionach Swietlana i Alina były trochę młodsze ode mnie. Rodzice ich z rzadka pozwalali dziewczynkom na zabawy z polskimi rówieśnikami. Dziewczynki, zawsze schludnie ubrane, były wyraźnie onieśmiałe. Nie wykluczam, że nieśmiałość wynikała z niedoskonałej znajomości języka polskiego. Z małymi Rosjankami częściej bawiła się na ulicy moja młodsza siostra Hania.

W 1952 r. na pierwsze piętro willi Starków wprowadził się I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Władysław Kruczek. Mieszkał tam z żoną do roku 1956. Nigdy nie widziałem, żeby Kruczek chodził gdzieś pieszo. Do dyspozycji miał luksusową czarną angielską limuzynę marki Humber. Limuzyna podjeżdżała pod dom i po jakimś czasie wsiadał do niej I sekretarz. Do przebycia miał kilka metrów od furtki do drzwi samochodu. „Lud pracujący miast i wsi” naiwnie wierzył, że ich przywódcy prowadzą ascetyczny tryb życia zgodnie z głoszonymi publicznie ideami. W rzeczywistości ludzie ci oderwani byli od szarej rzeczywistości dnia powszedniego: mieli swoje partyjne stołówki i specjalne sklepy, gdzie zaopatrywali się w towary niedostępne na rynku. Okna wystawowe tych sklepów, zwanych konsumami, zasłonięte były żółtymi firankami. Centrala bydgoskich konsumów mieściła się przy ul. ks. Markwarta 4. Jeden z konsumów znajdował się w zespole budynków należących do UB od strony ulicy Ogińskiego.

W gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Chodkiewicza mieściło się kino Gwardia przeznaczone dla pracowników aparatu partyjnego,

milicji, UB i ich rodzin. Na przedpołudniowe niedzielne poranki filmowe wpuszczano także dzieci, których rodzice nie byli związani z aparatem władzy. Na porankach wyświetlano wyłącznie filmy sowieckie i krajów demokracji ludowej.

Któregoś dnia rano odkryliśmy ze zdumieniem, że nasz płot od strony ulicy leży powalony w ogrodzie. Płot miał murowaną podstawę i słupy oraz drewnianą, ułożoną z deseczek przestrzeń między słupami. Rodzice i babcia zaczęli rozpytywać wśród sąsiadów, czy wiedzą coś o okolicznościach związanych z przewróceniem płotu. Jedna z sąsiadek powiedziała ojcu, że rano podjechała pod dom Starków ciężarówka z meblami dla sekretarza Kruczka. Przy cofaniu szofer wykonał niewłaściwy manewr i auto uderzyło w płot, przewracając go. Ojciec wypatrzył, kiedy pod dom przyjechała limuzyna Kruczka i poszedł do niego do mieszkania. Kruczek przyjął go na klatce schodowej. Zapytał go, czy coś wie na temat przewróconego płotu. Kruczek odpowiedział, że „nie zna sprawy, ale ją zbada”. Na tym sprawa płotu się zakończyła.

Pierwsze filmy w życiu widziałem nie w kinie, a w mieszkaniu znajomych moich rodziców, Zielińskich, którzy mieszkali wtedy na rogu ulicy Gdańskiej i Słowackiego. Roman Zieliński wkrótce po zakończeniu wojny został dyrektorem Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” w Bydgoszczy. Miał w domu niemiecki aparat filmowy. Za ekran służyło rozciągnięte na ścianie prześcieradło. Oglądaliśmy niemieckie komedie i amerykańskie westerny. W tych ostatnich najczęściej występowali popularni przed wojną aktorzy Edie Polo i Tom Mix. Przysłuchiwałem się z niedowierzaniem, jak dorośli opowiadali, że w Ameryce ludzie mają „kino w domu” i za kilka lat tak będzie w Polsce. „Kino w domu” mieliśmy jednak dopiero od 1962 r., kiedy rodzice kupili pierwszy telewizor marki Wawel. Jednym z pierwszych filmów, jaki oglądałem w prawdziwym kinie, był polski film „Ulica Graniczna”. W moich notatkach, które prowadziłem jako dziecko, zapisałem sobie, że był to rok 1949. Film wyświetlano w kinie Wolność. Do tego kina zresztą chodziłem najczęściej z uwagi na trochę niższe ceny biletów w porównaniu z cenami w Pomorzaniu czy Polonii. Kino Wolność miało jeszcze inne zalety: bileterzy patrzyli przez palce na trochę bardziej wyrosnięte dzieci wchodzące na filmy dozwolone od 16 czy 18 lat. Jeden z bileterów, szczupły, niski brunet o śniadej twarzy, z charakterystycznym czarnym wąsikiem, nazywał się Niewiem (w latach siedemdziesiątych przeniesiono go do Polonii). Aby dostać się na filmy dozwolone dla dorosłych, opracowałem specjalną taktykę wchodzenia do kina. Wybierałem moment największego tłoku, wtedy kiedy bileterzy zaczęli wpuszczać ludzi do poczekalni. W tym czasie wciskałem się w tłum, starając się skasować bilet u biletera Niewiem. W tłoku bileter nie zauważał, kto mu podaje bilet i droga do poczekalni, a później salę kinową była otwarta. Kiedyś

sposzrzegłem, że do kina Wolność można się dostać także bez biletu. Pomieszczenie, gdzie znajdowały się kasy biletowe, oddzielała od poczekalni ściana kończąca się na około dwumetrowym odcinku metalową przegrodą. Przegrodę stanowiły wykute w żelazie stylizowane kielichy kwiatów. Poprzez kielichy kwiatów przeciskali się do poczekalni kinowej co drobniejsi chłopcy. Postanowiłem i ja pokonać barierkę w podobny sposób jak obserwowani przeze mnie chłopcy. Pewnego popołudnia poszedłem z kolegą do Wolności bodajże na film dozwolony od 16 lat. Przecisnąłem się zwinnie przez żelazną przegrodę i znalazłem się w poczekalni w tłumie ludzi oczekujących na otwarcie drzwi do sali kinowej. Niestety, mój kolega, trochę tęższy ode mnie, utknął w żelaznych kielichach i nie dostał się do kina. Dalej musiałem sobie radzić sam. Kiedy drzwi do sali kinowej zostały otwarte, poszedłem z innymi zająć miejsce na widowni. Kalkulowałem, że miejsce w pierwszym rzędzie przed ekranem zapewni mi „niezakłócone” oglądnięcie filmu. I tak rzeczywiście się stało. W podwórzu kamienicy przy ulicy Gdańskiej 43 funkcjonowało przez kilka lat kino letnie (ogródkowe) Bagatela. Wyświetlano tam filmy w godzinach wieczornych. Tylko raz wybrałem się tam z kolegą na seans filmowy. Największą przeszkodą w spokojnym oglądaniu filmu stanowiły niewygodne, pozbawione poręczy, „szczebelkowe” krzesła ogrodowe. Zauważyłem, że bywalcy kina przynieśli ze sobą poduszki do siedzenia. Kilka filmów w Bagateli oglądałem w towarzystwie moich kuzynów z dachu domu sąsiadującego z kinem. Pozycja, z której oglądaliśmy filmy, nie była najwygodniejsza, ale nie narzekaliśmy, bo filmy były od 18 lat, a kino za darmo. W czasach stalinowskich w kinach wyświetlano przede wszystkim filmy sowieckie. Na niektórych filmach dla dzieci i młodzieży byłem po kilka razy. Należała do nich między innymi bajka „Konik Garbusek”. Podobał mi się przygodowy film dla młodzieży pod tytułem „Śmiali ludzie”. Film ten opowiadał o walce sowieckiego oddziału partyzanckiego z Niemcami poza linią frontu. Dzisiaj mógłbym określić ten film jako rodzaj sowieckiego westernu. Duże wrażenie wywarła na mnie filmowa baśń „Orzeł Kaukazu” nakręcona przez gruzińską wytwórnię. Film określiłbym jako bajkowy horror. W tym samym czasie oglądałem angielską ekranizację dramatu Szekspira pt. „Hamlet” z Laurencem Olivierem w roli głównej. Sceny z obu filmów śniły mi się później po nocach. Władze, chcąc odciągnąć dzieci od kościoła, organizowały w kinach w niedzielne przedpołudnia poranki filmowe. Ceny za bilety były symboliczne, a w milicyjnym kinie Gwardia na Chodkiewicza nie było żadnych opłat za wstęp.

Pewnego letniego dnia, datuję zdarzenie na rok 1953, stałem z kolegą przed kinem Pomorzanin, oczekując na rozpoczęcie kolejnego seansu filmowego. Uwagę moją zwróciła grupka młodych mężczyzn ubranych w odmienny sposób niż

przeciętni mieszkańcy. Kolega powiedział mi, że przed nami stoją bikiniarze. Słyszałem już o bikiniarzach i bażantach, ale pierwszy raz widziałem ich z bliska. Nosili przydługawe marynarki samodziałowe jasnego koloru, spodnie, zwane rurkami, i wystające spod nich kolorowe skarpetki w paski. Na nogach mieli buty na podwyższonej podeszwie, zwanej słoniną. Strój uzupełniały wzorzyste krawaty z motywem palmy lub kobiety o wybujałych kształtach w stroju bikini. Głowę przyozdabiały naleśniki, czyli modelowane na płasko kapelusze. Szyję przykrywała plereza, fryzura charakteryzująca się długimi włosami spadającymi na szyję z tyłu głowy. Przypatrywałem się bikiniarzom z zaciekawieniem, nagle jeden z nich odezwał się do mnie: – „Co się tak gapisz?!”. Nie była to agresywna zaczepka, bo bikiniarz się uśmiechał. Jego kolega za chwilę dodał: – „Wypierdaty do taty, bo taty bogaty!”. Uważali, że są dowcipni, wszyscy ryknęli śmiechem. Bikiniarzy w Bydgoszczy nie było dużo, może w sumie kilkunastu. Widywałem ich w śródmieściu i przed halą targową na Magdzińskiego – ciągle te same twarze. Władza ludowa ich zwalczała, bo propagowali wśród młodzieży złe wzorce importowane z Zachodu: muzykę jazzową i ekstrawaganckie stroje. W mieście rozklejono plakaty przeciwko bikiniarzom i bażantom, przedstawiając ich jako element społeczny i chuligański. Powstały nawet piosenki o bikiniarzach. Jedna z nich zaczynała się od słów: „bikiniarze są to ludzie tacy, co nie znają dyscypliny pracy”. Kroniki filmowe w kinach przez pewien okres zamieszczały także materiały przeciwko bikiniarzom. Sądzę, że większość bikiniarzy w Bydgoszczy stanowiły osoby niepracujące, względnie pracujące dorywczo. Ludzie pracujący, zatrudnieni na stałych etatach, nie mieli warunków, aby wieść życie bikiniarza. Skompletowanie stroju bikiniarza musiało sporo kosztować. Słyszałem, że źródłem zaopatrzenia dla nich w ciuchy były warszawskie bazy. Tandetne krawaty z gołymi panienkami i kolorowe skarpetki widziałem też w hali targowej na Magdzińskiego. Bikiniarze zniknęli niezauważeni z pejzażu bydgoskich ulic w połowie lat pięćdziesiątych.

W naszej dzielnicy, uważanej za najbardziej elegancką w Bydgoszczy, mieszkało po wojnie sporo pracowników komitetów PPR (PZPR), milicji i Urzędu Bezpieczeństwa. Często wprowadzali się do domów należących przed wojną do Niemców, względnie do Polaków wpisanych do którejś z grup volkslisty. Na rogu Asnyka i Ossolińskich w willi pod numerem 7 na pierwszym piętrze mieszkał kilka lat dyrektor Biblioteki Miejskiej Witold Belza. Na wiosnę 1951 r. musiał opuścić mieszkanie. Jego miejsce zajął oficer z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa z rodziną. Od tego momentu nasza ulica nie była już tak spokojna jak poprzednio. Pod dom podjeżdżały co rusz przeróżne samochody wojskowe, zarówno ciężarówki, jak i auta osobowe. Ciężarówki, przeważnie amerykańskie

studebakery, przywoziły na początku meble do mieszkania pułkownika. Było dużo szumu i hałasu, bo wojskowi kierowcy podjeżdżali pod dom z fantazją. Na jednego z szoferów, młodego blondyna, koledzy wołali Alosza. Z aut osobowych zwróciło moją uwagę długie odkryte auto niemieckie z okresu II wojny światowej, przypominające z wyglądu znane samochody terenowe typu kübelwagen. Auto posiadało trzy rzędy siedzeń i przewidziane było do przewożenia siedmiu osób. Oficer UB miał dwóch synów: jeden w moim wieku, drugi trochę młodszy. Chłopców poznałem w czasie jakiejś zabawy na ulicy. Pewnego dnia zaprosiłem ich do domu. Moi goście zwrócili uwagę na liczne książki historyczne zgromadzone na pulkach szafy bibliotecznej. Pokazałem im między innymi rocznik przedwojennego miesięcznika „Tęcza” wydawanego w Poznaniu. W jednym z numerów tego pisma przedstawiono karykaturę Józefa Stalina podpalającego pochodnią kulę ziemską, karykaturę podpisano „Stalin Podpalacz Świata”. Bracia byli oburzeni, że przedstawia się go w tak niekorzystnym świetle. Twierdzili, że to wszystko, co piszą w „Tęczy”, jest kłamstwem, bo według nich Stalin jest najwspanialszym człowiekiem i przyjacielem Polski. Żeby im „dolożyć”, pokazałem jeszcze powieść Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego pod tytułem „Lenin” z licznymi karykaturami przeróżnych postaci z bolszewickiej Rosji. Książki miały wyraźnie charakter antykomunistyczny. Chłopcy jeszcze kilkakrotnie oglądali te książki.

Ojciec był w Bydgoszczy znaną postacią. Od 1945 r. działał w radach narodowych z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. W 1950 r. wybrano go na przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu SD. W Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich przez długie lata zajmował stanowisko wiceprzewodniczącego. Od lutego 1945 r. był kierownikiem, a później dyrektorem Archiwum Państwowego w Bydgoszczy. W czasach stalinowskich wszyscy działacze polityczni i pracownicy na kierowniczych stanowiskach w instytucjach i zakładach pracy podlegali inwigilacji ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Skala inwigilacji została odkryta dopiero w ostatnich latach.

W 1952 r. funkcjonariusze UB zaczęli nachodzić ojca w domu. Pewnego dnia przyszło do domu dwóch panów. To właśnie ja otwierałem im drzwi wejściowe. Nie przedstawili się, ale chcieli rozmawiać „z tatusiem”. Ojciec zaprowadził ich do pokoju, gdzie stała szafa biblioteczna. Siedzieli chyba z godzinę. Kiedy wyszli ojciec wpuścił mnie do pokoju. Książki z szafy bibliotecznej leżały na podłodze. Ojciec poprosił mnie, abym pomógł mu poukładać je w szafie na półkach. W trakcie robienia porządku zauważyłem, że brakuje kilku książek. Na pierwszej półce zawsze stały książki: „Lenin” Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego i „Od białego do czerwonego caratu” Jana Kucharzewskiego. Ojciec wyjaśnił

mi, że te książki, jak i kilkanaście innych, zabrano w trakcie rewizji UB. Poprosił mnie, abym nikomu nie opowiadał o wizycie panów z UB w naszym domu. Część książek zabranych z szafy bibliotecznej w 1952 r., bezpieka zwróciła w 1956 r. Przyniósł je do domu jeden z ubowców, którzy dokonywali rewizji w naszym mieszkaniu w 1952 r. Nie zwrócił jednak ani książki Ossendowskiego, ani Kucharzewskiego. Szczególnie efektownie prezentowała się książka Ossendowskiego „Lenin”. Miała solidną bordową okładkę i liczne fotografie. Być może dzisiaj jest ozdobą jakiejś szafy bibliotecznej. Od dnia rewizji atmosfera w domu stała się nerwowa: ojciec był przygnębiony, mama pochłipywała po kątach. Któregoś dnia babcia poszła ze mną na strych. Tam pokazała mi fotografię, na której widać ojca w polskim mundurze wojskowym z 1920 r. Babcia powiedziała mi, że trzeba ją ukryć, bo UB już pytało o fotografie z okresu jego młodości. Wsunęła zdjęcie między belki. Powiedziała, że jak dorosnę i czasy się uspokoją, mam fotografię wyciągnąć. W latach siedemdziesiątych postanowiłem ją odnaleźć. Szukałem, ale bez rezultatów. Wydawało mi się, że przypadła albo ktoś już ją wyciągnął. Jeszcze kilka razy podejmowałem próby jej odszukania – bezskutecznie! W latach osiemdziesiątych remont strychu przeprowadzał mój siostrzeniec Piotr Kotlarek. O dziwo, Piotr odnalazł nie jedną, ale dwie identyczne fotografie ojca z okresu wojny bolszewickiej. Fotografie zachowały się w stosunkowo dobrym stanie.

W maju 1952 r. ojciec skierował pismo do ówczesnego Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych w Warszawie prof. Rafała Gerbera, informujące o rezygnacji ze stanowiska dyrektora Archiwum Państwowego w Bydgoszczy „ze względu na zły stan zdrowia”. Z pisma wynikało, że ojciec od dłuższego czasu choruje na serce i płuca i te dwie współistniejące choroby nie pozwalają mu pełnić funkcji dyrektora. Rezygnacja została przyjęta w sierpniu tego roku przez kolejnego dyrektora Naczelnej Dyrekcji Archiwów dr. Henryka Altmana. Ojcu pozwolono na dalszą pracę w Archiwum, zatrudniając go najpierw jako prowizorycznego kustosza, później kustosza. Mimo „choroby serca i płuc” pracował w Archiwum do 1970 r., kiedy to przeszedł na emeryturę w wieku 67 lat. We wrześniu 1952 r. plenum Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego odwołało go z funkcji przewodniczącego tego gremium. Na tym samym posiedzeniu wybrano nowe kierownictwo WKSD w Bydgoszczy – przewodniczącą została Eugenia Furmaniakowa. Urząd Bezpieczeństwa prześwietlił także przeszłość nowej przewodniczącej, znajdując na nią haki. Okazało się, że w jednej z ankiet personalnych Furmaniakowa podała nieprawdę, pisząc o działalności w czasie wojny w okolicach Łodzi w lewicowej organizacji „Sierp i Młot”. Urząd Bezpieczeństwa sprawdził tę informację i ustalił, że organizacja nazywała się faktycznie „Miecz i Bóg”, a w broszurach propagandowych „szkalowała ruch

lewicowy i ZSRR”. Te „kompromitujące materiały” nie zostały w tym przypadku wykorzystane przeciwko Furmaniakowej. W październiku 1952 r. wybrano ją nawet z ramienia Stronnictwa Demokratycznego na posłankę do sejmu PRL. Po wielu latach ojciec opowiedział mi o okolicznościach rezygnacji ze stanowiska dyrektora Archiwum i odwołania z funkcji przewodniczącego WKSD. Mówił, że od dłuższego czasu zdawał sobie sprawę, że jest przedmiotem inwigilacji ze strony UB, które szukało „haków w jego życiorysie”. Prześwietlano okres międzywojenny, okupację i okres powojenny. Dla UB każdy zajmujący wyższe stanowisko państwowe czy też polityczne był podejrzany. W okresie ogólnego szukania wrogów klasowych w społeczeństwie osoba z takim życiorysem jak ojciec pasowała jak ulał na wroga ludu. Nie należał, do osób, o których w kręgach PZPR mówiło się nasz człowiek. Sama przynależność do Stronnictwa Demokratycznego była dla nich podejrzana. Stronnictwo zostało skazane w czasach stalinowskich na polityczną wegetację, a w odpowiednim momencie prawdopodobnie na likwidację. Ojca usunięto ze stanowiska dyrektora Archiwum w sierpniu 1952 r., a z przewodniczącego WKSD we wrześniu tego roku, czyli mniej więcej w tym samym czasie. W dokumentach UB z kwietnia 1952 r. znajduje się charakterystyka figuranta, czyli mojego ojca. Według oficera bezpieczeństwa ojciec miał „pozytywny stosunek do ówczesnych rządów sanacyjnych w Polsce”, przejawiający się między innymi w aktywnym działaniu w Towarzystwie Miłośników Kultury w Bydgoszczy. Miał być też członkiem Rady Miejskiej, co było wymysłem albo informatora UB, albo samego oficera piszącego notatkę. Najgorsze „przestępstwa” miał jednak popełnić w czasie okupacji, bowiem należał do organizacji podziemnej PSC (Państwowa Służba Cywilna), „która bezpośrednio podlegała Delegaturze Rządu Londyńskiego”. W organizacji tej pracował w Wydziale Bezpieczeństwa, będącej „odpowiednikiem sanacyjnej dwójki, gdzie uchodził za jednego z czołowych działaczy naszego województwa. Po wojnie działalności konspiracyjnej nie ujawnił”. W ramach akcji Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Bydgoszczy prowadzonej przeciwko członkom Okręgowej Delegatury Rządu ustalono nazwiska 550 działaczy Państwowej Służby Cywilnej z terenu województwa bydgoskiego. Co ciekawe, we współczesnej literaturze zajmującej się dziejami Okręgowej Delegatury Rządu, nie używa się terminu Państwowa Służba Cywilna. W dokumentach WUBP w Bydgoszczy natomiast, określenie to pojawia się nagminnie, tak jak gdyby PSC stanowiła odrębną organizację. Można się zastanawiać, dlaczego UB wyciągnęło fakt współpracy ojca z Delegaturą Rządu Londyńskiego akurat na wiosnę 1952 r. Odpowiedź wynika wprost z akt Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa – ojciec odmówił wtedy współpracy z bezpieką. Fakt „odmowy współpracy” ciągnął się za nim całe życie. Pod koniec lat

siedemdziesiątych postanowiłem wyjechać z nim na dwa dni do Berlina Wschodniego. W tym czasie można było wyjechać do NRD na podstawie wpisu do dowodu osobistego. Wpis polegał na uzyskaniu w Wydziale Paszportów stempla koloru fioletowego, wbitego na ostatniej stronie dowodu. Miałem już taki dokument, więc namówiłem ojca, żeby też złożył podanie o dokonanie wpisu. Zauważyłem, że nie palił się do wyjazdu, ale kiedy wypełniłem za niego kwestionariusz, zgodził się go złożyć w Wydziale Paszportowym na ulicy Chodkiewicza. Owszem poszedł na milicję z podaniem, ale wrócił z kwitkiem. Podobno powiedziano mu, żeby przyniósł dodatkowe dokumenty uzasadniające cel wyjazdu. Zaoferowałem się, że sam pójdę na milicję i wyjaśnię sprawę. „Daj sobie spokój – powiedział krótko – nie chcę od UB żadnej łaski”. W ten sposób zrezygnował z jedyne go w swoim życiu planowanego wyjazdu za granicę. Nawet z perspektywy dekady Gierka odmowa dokonania wpisu do dowodu wydaje się absurdalna. Ojciec miał już w tym czasie najwyższe odznaczenia państwowe, łącznie z Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski, a nie dostał głupiego stempla w dowodzie osobistym. Jedyne sensowne wyjaśnienie przyczyn odmowy wpisu widzę w tym, że order przyznawała Rada Państwa w Warszawie, a wpisy do dowodów Wydział Paszportowy Milicji Obywatelskiej w Bydgoszczy.

Jeszcze gorzej obszedł się Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Bydgoszczy z sekretarzem Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego i jednocześnie posłem na Sejm Eugeniuszem Czechowiczem. Aresztowano go we wrześniu 1952 r. po zakończeniu kadencji Sejmu Ustawodawczego. Postać Eugeniusza Czechowicza jest w Bydgoszczy mało znana, więc warto o nim napisać kilka zdań. Urodził się w 1904 r. w Mostach Wielkich na dzisiejszej Ukrainie. Pochodził z rodziny ziemiańskiej. Studiował ekonomię w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W okresie międzywojennym pracował w służbie konsularnej, między innymi na placówkach w Niemczech (Królewiec), we Włoszech i Czechosłowacji. W czasie wojny działał w AK. Po aresztowaniu przez Niemców, więziony na Pawiaku. Brał udział w powstaniu warszawskim. Po wojnie przeniósł się na Śląsk, zamieszkał w Katowicach. Od lutego 1945 r. działał w strukturach wojewódzkich SD w Katowicach, a w 1948 r. wybrano go do Rady Naczelnej Stronnictwa. W lutym 1947 r. uzyskał mandat poselski do Sejmu Ustawodawczego (1947–1952) z województwa opolskiego. W lipcu 1950 r. został sekretarzem instancji wojewódzkiej SD w Bydgoszczy. Czechowicz był cały czas w kręgu podejrzeń i inwigilacji UB. Gdyby nie był posłem, areszt zastosowano by wcześniej niż w wrześniu 1952 r., prawdopodobnie na wiosnę tego roku. UB nadało sprawie przeciwko Czechowiczowi i innym osobom kryptonim „Delegowani” i „Szaleńcy”. Zarzuty oparto na postanowieniach tzw. małego kodeksu karnego

z 1946 r., czyli Dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Czechowicz miał odpowiadać za działalność zmierzającą do faszyzacji kraju, a więc jedno z poważniejszych przestępstw przewidzianych kodeksem. Za przestępstwa takie groziła nawet kara śmierci. Czechowicza zaliczono także do „grupy speców związanych do 1939 r. z koncernami zagranicznymi, a w czasie okupacji powiązanych z Delegaturą Rządu Londyńskiego”. Grupę tę podejrzewano nawet o dokonywanie aktów sabotażu w przemyśle hutniczym i górnictwie. W związku ze sprawą Czechowicza w kręgu zainteresowania UB byli inni działacze Stronnictwa Demokratycznego, byłego Stronnictwa Pracy i PPS, między innymi byli naczelni redaktorzy „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” Andrzej Trella i Jan Zagierski oraz były wicewojewoda bydgoski mecenas Henryk Trzebiński. W sumie UB próbowało włączyć do sprawy Czechowicza kilkanaście osób. Śledztwo przeciwko Czechowiczowi prowadzono przez 19 miesięcy w gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Mimo długiego pobytu w areszcie śledczym, przeciwko Czechowiczowi nie wniesiono aktu oskarżenia. Ostatecznie śledztwo umorzono w kwietniu 1954 r. i Czechowicz opuścił areszt na Rakowieckiej. Na umorzenie śledztwa miała niewątpliwie wpływ zmieniająca się sytuacja polityczna w Polsce po śmierci Stalina. UB nie udało się włączyć do sprawy innych podejrzanych oraz zebrać odpowiednich świadków potwierdzających „przestępczą działalność” Czechowicza. Po wyjściu z więzienia Czechowicz wrócił do Bydgoszczy. Znalazł zatrudnienie w Spółdzielni Pracy „Precyzja” przy ulicy Gdańskiej, gdzie objął stanowisko kierownika działu ekonomicznego. W opublikowanych wspomnieniach ojciec pisał, że w czasach stalinowskich Urząd Bezpieczeństwa prowadził faktycznie politykę kadrową w Polsce. Dotyczyło to wszystkich sfer życia publicznego, a także obsady stanowisk w zakładach pracy. Bezpieka szczególnie była uczulona na sytuację kadrową w „bratnich stronnictwach”, w ZSL i SD. Czołowych działaczy stronnictw UB otaczał wianuszek agentów i informatorów UB, rekrutujących się głównie z samych działaczy tych organizacji. PZPR i UB nie miały zaufania do Stronnictwa Demokratycznego, uważając, że działacze tego Stronnictwa mogą w sprzyjającym momencie zdradzić interesy komunistycznego państwa. Formalną inwigilację członków Stronnictwa Demokratycznego w województwie bydgoskim Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego rozpoczął we wrześniu 1946 r. We wniosku o rozpoczęcie rozpracowywania „obiekta – Wojewódzki Komitet SD” skierowanym do Ministerstwa Bezpieczeństwa w Warszawie napisano: „pomimo wzniosłych celów jest możliwe, że w szeregach Stronnictwa znajdują się elementy reakcyjne, które są wrogo ustosunkowane do obecnego ustroju demokratycznego”. W innym dokumencie UB podaje się, że

w Stronnictwie musi nastąpić likwidacja „kupiecko-kramikarskich pozostałości kapitalizmu”. Zakończenie rozpracowywania Wojewódzkiego Komitetu SD w Bydgoszczy nastąpiło dopiero we wrześniu 1955 r. na mocy postanowienia Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Ojciec bardzo przeżył odwołanie go przez bezpiekę z funkcji dyrektora Archiwum Państwowego. Dano mu ultimatum: albo rezygnacja ze stanowiska dyrektora Archiwum, albo włączenie do sprawy Eugeniusza Czechowicza. Rozpoczęcie śledztwa w sprawie współdziałania z Czechowiczem mogło oznaczać aresztowanie i w konsekwencji utratę pracy, a więc pozbawienie siedmioosobowej rodziny jedyne go źródła dochodów. Trudno nawet sobie wyobrazić, jaki los mógł nas czekać. Zarówno mama, jak i babcia, nie pracowały zawodowo, a dzieci chodziły do szkoły. W związku z zarzutem UB, że ojciec współpracował w czasie wojny z „odpowiednikiem sanacyjnej dwójki”, śledztwo mogło pójść nawet w kierunku oskarżenia go o działanie na rzecz faszystacji kraju. W tej sytuacji ojciec przyjął ze strony UB „propozycję nie do odrzucenia” i złożył rezygnację ze stanowiska dyrektora Archiwum w Bydgoszczy „ze względu na chorobę serca i płuc”. We wrześniu 1952 r. przestał także pełnić funkcję przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu SD w Bydgoszczy.

Po odejściu ze stanowiska dyrektora Archiwum w sierpniu 1952 r. sytuacja materialna naszej rodziny uległa znacznemu pogorszeniu. Mama postanowiła pójść do pracy. Miała wykształcenie na poziomie szkoły średniej, ale żadnego konkretnego zawodu. Pod koniec I wojny światowej rozpoczęła naukę w Szkole Sióstr Urszulanek w Poznaniu. Od 1923 r. uczęszczała przez 3 lata do Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Poznaniu. W 1950 r. zdała w Izbie Rzemieślniczej w Bydgoszczy egzamin czeladniczy w specjalności bielizniarstwo. Od końca 1952 r. pracowała przez dwa lata w spółdzielni chałupniczej jako bielizniarka. Szyła przeważnie biustonosze. W 1954 r. postanowiła przejść do pracy na etat. Znalazła zatrudnienie w drukarni na ulicy Dworcowej. Pracowała tam na stanowisku robotniczym. Praca była ciężka i nisko płatna. Pracownikom przysługiwał deputat w postaci dwóch litrów mleka dziennie. Mama przynosiła jedną butelkę mleka do domu. Ciężki fizyczny wysiłek okazał się ponad jej siły i po pół roku mama zrezygnowała z pracy w drukarni. Wróciła do pracy chałupniczej. Najpierw znowu trochę szyla, później zajęła się klejeniem papierowych torebek używanych w sklepach do pakowania koszul i bielizny. Przy końcu lat pięćdziesiątych nawiązała współpracę ze skoliigaconym z Edmundem Mateckim Edwardem Mąką. Miał on na ulicy Długiej 10 sklep z artykułami kaletniczymi. Kiedy nastała moda na noszenie plastikowych siatek na zakupy Mąka zajął się produkcją plastikowych kabelków służących do wyplatania siatek. Mama otrzymywała materiał od Mąki i wyplatała dla niego siatki. Robiła dla niego także

siatki z cienkiej żyłki, takiej jakiej wędkarze używali do łowienia ryb. Moda na te siatki szybko minęła, bowiem cienka żyłka łatwo wplątywała się w guziki od płaszczy i kurtek. W produkcji pomagali mamie także inni członkowie rodziny, nie wyłączając mojej osoby.

7 marca 1953 r. umarł Józef Stalin. W kraju ogłoszono żałobę narodową na dzień 9 marca. Chodziłem wtedy do szóstej klasy szkoły podstawowej. O niczym innym się wtedy nie mówiło i nie pisało, tylko o śmierci Stalina. W dniu pogrzebu Stalina nie mieliśmy żadnych lekcji. Na szkolnym korytarzu odbyła się uroczysta akademie. Przed gipsowym popiersiem Stalina kilkusobowy uczniowski poczet sztandarowy zaciągnął wartę. Najpierw wszyscy zaśpiewaliśmy Międzynarodówkę, później pieśń o Stalinie: „Stalin wszystkich bojów naszą chwałą, Stalin to młodości naszej blask...”. Jedną z dziewczynek stojącą w poczcie sztandarowym zaczęła płakać. Wzruszyła się też stojąca obok niej koleżanka, która wycierała spływające po twarzy łzy białą chusteczką. Przemawiała kierowniczką szkoły pani Furmaniakowa. Uczniowie deklamowali wiersze sławiące czyny i dokonania Józefa Stalina. Wysłuchaliśmy też radiowego przemówienia przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego. Po zakończeniu akademii poszedłem do domu. Natychmiast włączyłem radio i zapamiętałem szukałem na falach krótkich wiadomości z Wolnej Europy. Znalezienie odpowiedniego pasma i utrzymanie go na poziomie względnie dobrej słyszalności wcale nie było łatwe. Radio Wolna Europa podobnie jak Głos Ameryki i inne polskojęzyczne audycje były zagłuszane 24 godziny na dobę. W dniu pogrzebu Stalina Wolną Europę zagłuszono szczególnie zajadle. Tego dnia Wolna Europa zajmowała się tylko śmiercią dyktatora. Redaktorzy audycji byli wyraźnie pobudzeni doniosłością wydarzenia, bez końca komentowali i analizowali konsekwencje śmierci Stalina dla Polski i świata. Nadano fragment wiecu Polonii angielskiej w Londynie. W eter szły okrzyki radości: Hura, Hura, Stalin umarł!

W związku ze śmiercią Stalina każda klasa została zobowiązana do przygotowania gazetki ściennej. W gazetkach uczniowie umieszczali rysunki z postacią wodza, fotografie z gazet i okolicznościowe wiersze. Gazetki zostały powieszony w klasach i na szkolnych korytarzach. Nauczyciel historii, pan Czyż, polecił nam wykonanie albumów zawierających gazetowe fotografie Stalina i artykuły prasowe. Powycinałem kilkadziesiąt podobizn wodza z różnych gazet i powklejałem je do albumu. Miałem tyle wycinków prasowych, że część z nich odstąpiłem kolegom. Mieliśmy się też nauczyć na pamięć życiorysu Generalissimusa. Życiorys mieliśmy znać tak dobrze, że obudzeni w środku nocy powinniśmy go natychmiast wyrecytować na pamięć. Wykułem życiorys na blachę. Pan Czyż przepytał wszystkich uczniów z życiorysu. Niektórzy musieli go zaliczać po kilka razy. Ja

„zaliczyłem” zyciorys za pierwszym podejściem. Znałem najdrobniejsze szczegóły z życia wodza, takie na przykład jak nazwisko wykładowcy w Seminarium Duchownym w Tyfilisii, który usunął młodego Józefa Wissarionowicza Dzugaszwili ze szkoły. Duchowny nazywał się Anton Abaszydze. W okresie późniejszym, o czym dowiedziałem się po latach, został nawet prawosławnym biskupem.

We wrześniu 1953 r. rodzice przenieśli mnie ze szkoły na ulicy Poniatowskiego do Szkoły Podstawowej TPD nr 1 na ulicy Staszica. Rodzice uważali, że mając pod bokiem szkołę na Staszica, niepotrzebnie chodzę do oddalanej o spory kawałek od domu szkoły na Poniatowskiego. Odpadł też argument, że powinienem chodzić do szkoły, gdzie uczy się religii, bowiem w roku szkolnym 1951/1952 usunięto religię także ze szkoły na Poniatowskiego. W ten sposób od września 1953 r. rozpocząłem naukę w siódmej klasie w nowej szkole. Uczyłem się dobrze, chociaż nie wszystkich przedmiotów z jednakową gorliwością. Miałem ulubione przedmioty: historię, geografię i język polski. Mimo że lubiłem język polski, od początku nauki w nowej szkole miałem problemy, nie tyle z samym przedmiotem, co z nauczycielką uczącą polskiego, panią Lidią Fryckowską. Należała ona do aktywistek partyjnych, pełniąc jednocześnie funkcję opiekunki Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) w znajdującym się w tym samym gmachu liceum ogólnokształcącym. Jej zaangażowanie w sprawy polityczne i ideologiczne po stronie władzy było bardzo widoczne. Do jednej z lektur obowiązkowych w siódmej klasie należała powieść Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”. Któregoś dnia pani Fryckowska poleciła nam napisanie w domu wypracowania na temat postawy głównego bohatera powieści Pawki Korczagina. Temat pracy brzmiał tak: „Dlaczego Pawka Korczagin powinien być wzorem do naśladowania dla polskiej młodzieży?”. Zabrałem się ochoczo do pracy, pisanie zajęło mi kilka godzin. Rozpisałem się mocno – praca rozrosła się do kilku stron. Zależało mi na dobrym napisaniu wypracowania i wysokiej ocenie. Pokazałem pracę ojcu, żeby ją ocenił. Ojciec poprawił mi drobne błędy językowe, nie miał jednak zastrzeżeń co do meritum wyводу. Bohatera powieści oceniłem oczywiście bardzo pozytywnie, wychwalając wszystkie przymioty jego charakteru. Wiedziałem, jakie poglądy polityczne reprezentuje pani Fryckowska, więc starałem się pisać tak, aby moja praca się jej spodobała. Przykład ten pokazuje, jak polska szkoła stalinowska uczyła młodzież konformizmu i oportunistów. W pewnym fragmencie pracy pozwoliłem sobie na porównanie bohaterskiego życia Pawki Korczagina w czasie Wielkiej Rewolucji z moim bezbarwnym, spokojnym i poukładanym życiem uczniowskim w pokojowych czasach. Stwierdziłem między innymi, że nie byłbym zdolny do takich poświęceń, bo nie miałbym tyle sił fizycznych i psychicznych, żeby przeżyć to wszystko, czego dokonał bohater powieści w czasie rewolucji. I w tym momencie

popelnilem błąd! Okazało się jednak, że zabrakło mi czujności, nie napisałem jednak tak, jak oczekiwała tego nauczycielka. Fryckowskiej nie spodobało się takie podejście do sprawy. Zarzuciła mi drobnomieszczańską postawę i postawiła ocenę niedostateczną. Byłem upokorzony – tyle wysiłku i taka niesprawiedliwa ocena! Uważałem, że nauczycielka z jakiegoś powodu mnie nie lubi. To odczucie znalazło potwierdzenie przy okazji rozpatrywania wniosków uczniów naszej klasy o przyjęcie w poczet członków ZMP. Jak wspomniałem, pani Fryckowska była opiekunką ZMP w liceum ogólnokształcącym. W normalnym trybie przyjmowano do tej organizacji dopiero uczniów szkół średnich. W wyjątkowych jednak przypadkach robiono odstępstwo i członkiem ZMP mogli zostać także uczniowie siódmej klasy szkoły podstawowej. Słyszałem od moich starszych siostr, że przyjmowanie do ZMP ograniczało się do wypisania deklaracji członkowskiej. Fryckowska stanęła jednak na stanowisku, że ten ważny „wybór ideowy” należy uzasadnić nie tylko pisemnie, ale i ustnie w trakcie inauguracyjnego zebrania koła ZMP. Postanowiłem dobrze przygotować się do złożenia ustnej deklaracji. W przeddzień zebrania ZMP napisałem sobie tekst mojego wystąpienia na kartce papieru i nauczyłem się tego na pamięć. Zebranie inauguracyjne prowadziła Nadzieja (Nadieżda) Rogowska, córka sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR ds. ekonomicznych w Bydgoszczy Jana Rogowskiego. Nadzieja była wyraźnie faworyzowana przez panią Fryckowską, sama zresztą też jak mogła, starała się przypochlebić nauczycielce. Rogowska wywoływała po kolei uczniów według kolejności alfabetycznej ustalonej w dzienniku. Nie wiem dlaczego, ale wyczuwałem, że będą problemy z przyjęciem do ZMP. Przede mną uzasadnienie wniosku o przyjęcie do organizacji składała Małgosia Dunkelman, z którą siedziałem w jednej ławce. Rogowska pominęła moje nazwisko i wywołała następną osobę. Natychmiast wyskoczyła Dunkelman, pytając dlaczego Rogowska nie wymieniła nazwiska „kolegi Esmana”. – „Nie twoja sprawa – ja prowadzę zebranie” – odpowiedziała Nadzieja. Wywiązała się dyskusja między dziewczynami. Interweniowała pani Fryckowska, która zganiała Małgorzatę za „wtrącanie się w nie swoje sprawy”. – „Od kiedy jesteś adwokatem kolegi Esmana?” – zakończyła. W końcu Nadzieja powiedziała, że będę mógł wystąpić z uzasadnieniem wniosku o wstąpienie do ZMP jako ostatni. Kiedy Rogowska udzieliła mi głosu, byłem zrezygnowany. Wiedziałem już, że nie chcą mnie przyjąć do ZMP. Powiedziałem to, co wykulem na pamięć z kartki, te same banały i drętwa mowa jak wszyscy. Na koniec wystąpienia stwierdziłem, że poprzez działalność w ZMP „chcę służyć ludowej ojczyźnie Polsce Ludowej”. Rogowska z ironią w głosie zapytała, czy to wszystko. Przytaknąłem. – „To mało i bez ideowego zaangażowania – odparła. – Kolega nie dojrzał jeszcze do przyjęcia do naszej organizacji”. W ten sposób jako

jedyny z całej klasy nie zostałem przyjęty do ZMP. Czulem się podle, zostałem klasową czarną owcą. Wiem, że nieprzyjęcie mnie do ZMP ma związek z szykanami politycznymi, jakich doznał mój ojciec ze strony UB i PZPR. Sekretarz Rogowski bywał częstym gościem na zjazdach miejskich i wojewódzkich SD i miał orientację, co się dzieje w stronnictwie i jakie zarzuty miał przeciwko ojcu Urząd Bezpieczeństwa. Na szczęście był to koniec moich niepowodzeń w siódmej klasie. Do ZMP nigdy więcej już się nie zapisywałem. Sama organizacja zresztą została rozwiązana po roku 1956. Z języka polskiego nadal szło mi marnie, przynajmniej tak wynikało z ocen. Z polskiego dostałem na koniec roku trójkę, z pozostałych przedmiotów miałem czwórki i piątki. Przeciętą ocen wystarczyła, abym na koniec roku szkolnego został uhonorowany tytułem „Przodownika Nauki?”. Z tej okazji dostałem dwie nagrody książkowe z dedykacją dla „Przodownika Nauki?”. Pierwsza, dwutomowa powieść Mikołaja Nikitina, nosiła tytuł „Północna Aurora”. Nikitin został w 1954 r. laureatem Nagrody Stalinowskiej w dziedzinie literatury. Książkę wydało w 1954 r. na lichym gazetowym papierze Ministerstwo Obrony Narodowej. Z powieści tej nie przeczytałem nawet jednego zdania, ale domyślałem się, że jej akcja toczy się w czasach Rewolucji Październikowej. Druga książka dotyczyła powstania Chińskiej Republiki Ludowej w 1949 r. Wydała ją na doskonałym kredowym papierze Ambasada CHRL w Warszawie we współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Książka zaopatrzona była w liczne fotografie i ilustracje. W wieku piętnastu, a może szesnastu lat zetknąłem się po raz pierwszy w życiu z objawem antysemityzmu.

W połowie lat pięćdziesiątych ulica Asnyka była jeszcze oazą spokoju. Po przyjściu ze szkoły często wychodziłem przed dom, aby spotkać się z kolegami. Graliśmy wtedy najczęściej w palanta lub dwa ognie. Któregoś dnia zauważyłem, że z domu obok wychodzi nasz sąsiad mecenas Stanisław Kaszyński. Dźwigał dużą, ciężką, skórzaną walizkę. Walizka niemal dotykała ziemi, ponieważ Kaszyński był niskiego wzrostu. Przyjrzałem mu się z zainteresowaniem. Kaszyński postawił walizkę na ziemi i skinął na mnie. Poprosił mnie o przeniesieniu walizki do postoj taksówek, który znajdował się na rogu Gdańskiej i Słowackiego koło restauracji Sim. Zgodziłem się na propozycję. Po drodze Kaszyński opowiadał mi, że często wyjeżdża na rozprawy do różnych miast w Polsce. Zniosłem mu walizkę na postój taksówek. Za „usługę” dostałem kilka złotych. Po powrocie pochwaliłem się kolegom, że Kaszyński dał mi pieniądze. Wydawało mi się, że spojrzeli na mnie z niechęcią. Sytuacja z niesieniem walizki powtórzyła się jeszcze kilka razy. Któregoś dnia jeden z kolegów zapytał mnie, dlaczego wysługuję się Żydom? Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi. Tamten po chwili wyjaśnił mi, że Kaszyński jest Żydem, a ja jako Polak nie powinienem nosić walizek

Żydom. Było to dla mnie nowe doświadczenie, bo nigdy dotąd nie zetknąłem się z niechęcią do Żydów. W szkole znalazłem kilku uczniów Żydów, ale nie pamiętam, żeby ktoś wytykał im ich pochodzenie.

W czerwcu 1954 r. zdałem egzamin wstępny do VI Liceum Ogólnokształcącego. Liceum mieściło się w tym samym budynku co szkoła podstawowa, do której uczęszczałem w siódmej klasie, tyle że nie na parterze, a na pierwszym i drugim piętrze. Dyrektorem szkoły był za moich czasów Walenty Kaczmarek. W mojej klasie znalazło się kilku uczniów znanych mi ze szkoły podstawowej, między innymi przewodnicząca ZMP w siódmej klasie Nadieżda Rogowska. Jeszcze przed rokiem 1956 Rogowska odeszła z naszej szkoły. Prawie wszyscy nauczyciele w liceum mieli pseudonimy. Dyrektora Kaczmarka nazywano Nygusem. Profesorka fizyki, Ziman, z racji rudych włosów miała pseudonim Ruda Hvezda. Inny nauczyciel fizyki, Zarzycki, był Kowbojem, bo nosił kapelusz z dużym rondem. Do barwnych postaci zaliczam pedla (woźnego) Antoniego Śliwińskiego, zwanego oczywiście Śliwą. Śliwiński cały czas pomstował i krzyczał na uczniów. Słynne było jego powiedzenie: „ja i pan dyrektor na to nie pozwolimy”. Jeszcze w 1954 r. używał ręcznego dzwonu do ogłaszania początku i końca przerw. W 1954 r. obok naszej szkoły po drugiej stronie ulicy Staszica zaczęto budować filharmonię. Lekcje mieliśmy na pierwszym i drugim piętrze, więc z okien budynku mogłem obserwować postępy budowy. Przed szkołą wzmógł się znacznie ruch uliczny. Nauczyciele ostrzegali przed lekkomyślnym wchodzeniem na jezdnię. Początkowo filharmonię budowano bardzo szybko, ale po roku prace wyraźnie siadły. Ostatecznie oddano ją do użytku w 1958 r. Budowa filharmonii kojarzy mi się z pewnym tragicznym wydarzeniem. Zimą uczniowie liceum urządzali sobie zabawy na boisku polegające na rzucaniu kulkami śniegu w stojącego pod murem kolegę. Pod ścianą ustawiali się najbardziej wysportowani i odważni uczniowie potrafiący robić uniki przed nadlatującymi kulami. Schodzili z placu boju, kiedy dosięgał ich grad mocno rzuconych śnieżnych pocisków. Nagle pod murem stanął chłopiec z podstawówki, niepozorny blondynek w kolorowym swetrze w paski. Uczniowie z liceum zaczęli w niego rzucać kulkami. Zwinny chłopiec potrafił przez dłuższą chwilę uniknąć trafienia. Wreszcie dosięgła go w głowę mocno bita kula. Dopiero wtedy zszedł spod muru. Ktoś powiedział, że nazywa się Świetlik. Kilka dni później w czasie przerwy jakaś dziewczyna wychyliła się z okna i krzyknęła, że kogoś przejechali. Podbiegłem do okna, spojrzałem w dół. Na jezdni, metr od chodnika, na wysokości wznoszonego gmachu filharmonii w kałuży krwi leżał chłopczyk w kolorowym sweterku w paski.

W październiku 1955 r. zostałem wyrzucony ze szkoły. Nastąpiło to w sposób zupełnie niespodziewany. Jak zwykle 7 października odbyła się w auli szkolna

akademia z okazji kolejnej rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Razem z kilkoma kolegami postanowiliśmy urwać się z akademii i pójść pograć w koszykówkę w sali gimnastycznej. Ktoś z chłopców załatwił klucze do sali i przez przeszło godzinę zamiast nudnej akademii mieliśmy świetną zabawę w sali gimnastycznej. Miganie się z przeróżnych uroczystości szkolnych było w tamtych czasach dosyć powszechne. Nasza ucieczka z okolicznościowej akademii nie miała nic wspólnego z jakimkolwiek protestem, chcieliśmy po prostu sobie pograć w kosza. Ktoś doniósł do dyrektora. Podejrzewaliśmy o to pedla Śliwę. Dyrektor Kaczmarek wezwał nas do swojego gabinetu. Był wścickły. Ogłosił nam, że wszystkich chłopców w liczbie sześciu usuwa ze szkoły. Przez tydzień nie chodziłem do szkoły. Wychodziłem rano z domu i dołączałem do grona wagarowiczów z różnych klas zbierających się na ogół na placu obok szkoły na ulicy Sielanka. Po tygodniu odwiedził mnie w domu jeden z wyrzuconych. Powiedział mi, że dyrektor Kaczmarek wszystkim wybaczył i pytał, dlaczego nie chodzę do szkoły. Wróciłem do szkoły, nie ponosząc żadnych ujemnych konsekwencji mojej tygodniowej absencji na lekcjach. Okazało się, że jako jedyny z piątki zbyt dosłownie przyjąłem decyzję dyrektora o wyrzuceniu nas ze szkoły.

Rok 1956 obfitował w liczne wydarzenia. 12 marca zmarł w Moskwie na XX Zjeździe KC KPZR Bolesław Bierut – I sekretarz KC PZPR. Ogłoszono kilkudniową żałobę narodową. W dniu pogrzebu Bieruta 16 marca w auli naszego liceum odbyła się uroczysta akademia żałobna. Akademia rozpoczęła się odśpiewaniem Międzynarodówki. Wystąpił chór szkolny, kilka osób deklamowało wiersze. Później słuchaliśmy długiego sprawozdania radiowego z uroczystości pogrzebowych. Sprawozdawca opowiadał szczegółowo, kto idzie w kondukcje żałobnym. Najważniejszą osobą w trakcie ceremoniału pogrzebowego wydawał się tego dnia Sekretarz KC PZPR Franciszek Mazur. Niektórzy koledzy z klasy twierdzili, że Mazur będzie przyszłym I sekretarzem partii. Wkrótce okazało się, że nie mieli racji, bo I sekretarzem został Edward Ochab.

Dalsza część roku była także niespokojna. Przy końcu czerwca 1956 r., w czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich doszło do zamieszek. Strajkujący robotnicy starli się z milicją i wojskiem – zginęło kilkadziesiąt osób. We wrześniu pojechałem z rodzicami na tygodniowe wczasy do Międzyzdrojów. Na ulicach roztawione były megafony. Polskie Radio nadawało transmisje z procesu sądowego poznańskich robotników uczestniczących w antyrządowych demonstracjach. Ludzie przystawali przy ulicznych głośnikach i komentowali aktualne wydarzenia. Wyczuwało się napięcie polityczne. Zwołano VIII Plenum KC PZPR. Do władzy doszedł Władysław Gomułka. Przez kraj przetoczyły się wiece i demonstracje. Także w naszym liceum w auli odbył się wiec. Grono

pedagogiczne próbowało uspokajać nastroje młodzieży. Po wystąpieniach nauczycieli prowadzenie wiecu przeszło w ręce uczniów. Głos zabrało kilkunastu uczniów. Okazało się, że licealiści interesują się polityką i mają orientację w bieżących wydarzeniach. Na wiecu uchwalono szereg rezolucji podobnych do tych, jakie podejmowano na uczelniach i w zakładach pracy. Młodzież domagała się między innymi wycofania wojsk sowieckich stacjonujących w Polsce, wolnych wyborów, wprowadzenia systemu wielopartyjnego, zaprzestania zagłuszania Wolnej Europy i likwidacji ZMP. Na początku listopada uczniowie naszej szkoły zaczęli zbierać pieniądze na ofiary krwawych wydarzeń w Budapeszcie, jakie miały miejsce po wkroczeniu wojsk sowieckich na Węgry.

15 listopada 1956 r. Plenum Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego w Bydgoszczy wybrało mojego ojca ponownie na przewodniczącego tego gremium. W ogólnopolskich dziennikach radiowych ogłoszono tę wiadomość, podkreślając, że ojca pozbawiono w 1952 r. funkcji przewodniczącego WKSD na skutek bezpodstawnych zarzutów Urzędu Bezpieczeństwa o prowadzenie działalności antypaństwowej. 18 listopada w mieście doszło do antyrządowej demonstracji. Pochód demonstrantów dotarł na Szwederowo i zniszczył znajdującą się tam zagłuszarkę polskojęzycznych audycji radiowych nadających swoje programy z zagranicy. O wydarzeniu tym dowiedziałem się dzień później w szkole. Polonistka, prof. Żyromska, ostrzegła nas, że niepokoje mogą się powtórzyć. Prosiła nas, aby ze względów bezpieczeństwa nie przyłączać się do takich zgromadzeń. Następnego dnia, 19 listopada, przyjechał do Bydgoszczy kardynał Stefan Wyszyński. Poszedłem do mojej parafii, kościoła św. Wincentego á Paulo na Bielawkach, na uroczystą mszę świętą z udziałem księdza kardynała. Przed kościołem spotkałem kolegę z klasy, Henia Machela. Henio słyszał dziennik radiowy informujący o problemach ojca z Urzędem Bezpieczeństwa i ponownym jego wyborze na przewodniczącego WKSD w Bydgoszczy. Pogratulował mi sukcesu politycznego, jaki stał się udziałem mojego ojca. W kościele był taki tłum, że ledwo weszliśmy do bazyliki. Kardynał wygłosił długie kazanie, które miało odniesienia do aktualnej sytuacji politycznej w kraju. Byłem świadkiem, jak po zakończonej mszy świętej wsiadał do swojej granatowej limuzyny zaparkowanej przy wjeździe na chodnik przed skrzydłem bazyliki przeznaczonej na mieszkania dla księży. Widząc, jak prymas wsiada do auta, kilkunastu mężczyzn okrążyło pojazd i podniosło go na rękach do góry. W czasie burzliwego polskiego października 1956 r. usunięto z Dworca Głównego białe gipsowe popiersie Józefa Stalina. Tors Stalina stał na półpiętrze między drugim a trzecim peronem. Umieszczono go na drewnianej skrzyni, owiniętej czerwonym suknem. Przy okazji usuwania popiersia dyktatora dokonano ciekawego odkrycia

– kolejarze znaleźli w skrzyni kilkanaście kilogramów kielbasy umieszczonej tam przez złodziei. O wydarzeniu tym pisała bydgoska prasa. W grudniu 1956 r. mój kuzyn z Gdańskiej 47 wszedł ze mną do pracowni artystycznej Józefa Makowskiego, która mieściła się na parterze kamienicy. W sali panował półmrok. Nie zapalaliśmy światła, obawiając się, że może pojawić się Makowski lub ktoś z jego rodziny. Oczom moim ukazał się niecodzienny widok. Na półkach stały rzędy białych, gipsowych odlewów popiersia Stalina. Znajdowało się tam też kilka białych Leninów. O ścianę oparto dużej wielkości obraz malowany na płótnie przedstawiający Stalina w mundurze marszałkowskim. Nagromadzona w jednym miejscu ilość wodźów rewolucji świadczyła, że popyt na stalinowską symbolikę się skończył. Stalinizm odchodził w przeszłość – najgorsze było za nami.